

PAMIĘTNIKI
SZLACHCICA Z CZASÓW JANA SOBIESKIEGO.

PRZEZ

Ad. Am. Hosińskiego.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XV.

Król Jan III^{ci} Sobieski. Anegdoty dotyczące jego młodości. Dwie przepowiednie. Pobyt we Francyi. Pojedynki. Ożenienie się.

I komuż z nas nie jest miłą pamięć bohatera, którego sława świetny blask rzuca nietylko na Rzeczpospolitą całą, lecz w części spływa i na nas jako synów i wnuków dzielnych towarzyszy jego podbojów i zwycięstw? Komuż nie jest świętém to imię, które przez lat tyle uwielbiała Europa, tarczą nazywała swoją, a którym bisurmańskie matki straszły kwilące swe dzieci? Dla kogoż wreszcie nie powinno być drogiém wspomnienie monarchy, który upadając pod dwoma poprzedniami panowaniami sławie Polskiej, dzielności dawny zaszczyt przywrócił? Zaiste, obrońca i zbawca rodzinnej ziemi

a co więcej chrześcijaństwa całego od jarzma Turków, zwycięzca pod Chocimem, Żurawnem, Więdnem, Jassami i w tylu innych potyczkach, godzien jest aby jego życie powszechnie było znajome. O wielkich ludziach nigdy dość a cóż dopiero nazbyt mówić nie można; nie tylko ich cnoty, ale nawet wady nauką dla nas być mogą.

Z tych przyczyn przebaczy łaskawie czytelnik, że wprzód nim o sobie, kilka słów wspomnę o Sobieskim, a to, nie z szczegółów jego panowania, nie z szczegółów świetnych jego zwycięstw; one do historyi należą, w niej je znajdzie ciekawy; ale z tych drobnostek prywatnego życia, które błahe napozór jak żadne inne malują prawdziwy jego charakter, bo nie męża stanu lub monarchę, ale dadzą w nim widzieć człowieka.

I po mieczu i po kądzieli Sobieski z rodu bohaterów pochodził. Ojciec jego Jakób kasztelan Krakowski w wielu wyprawach a szczególnie w Chocimskiej za Zygmunta IIIgo chlubnie się odznaczył; matka była z domu Daniłowiczówna, z tego rodu, co jak niegdyś królów Rusi Czerwonej, tak później znakomitych dygnitarzy i wojowników, Rzeczypospolitej dostarczał (*).

Ale ważniejsze pokrewieństwo z strony matki zaszczycało. Jój dziadkiem był ów Stanisław Żółkiewski, w. hetman i kanclerz koronny, następca jak w godności tak i w sławie Jana Zamojskiego, Kłuszyński zwycięzca, którego bohaterski zgon na polach Cecorskich, zbyt żywo tkwi w naszej pamięci, abym miał o nim obszerniej powiadać.

Młodość przecież naszego bohatera, jak młodość tylu innych wielkich ludzi starożytności i dzisiejszych czasów,

(*) Daniłowicze wywodzili ród swój od Daniela króla Halickiego.

nie rokowała tej świetnej przyszłości jaka się okazała później. Sobieski kasztelaniec Krakowski, później wielki hetman i marszałek koronny, wreszcie król, sato trzy różne osoby, o różnych przymiotach, wadach i upodobaniach; że znając jedną niepodobna z niej sądzić o innych. Zdaje się z wiekiem i doświadczeniem zmieniała się cała istota bohatera, a że na zaszczyt dla siebie i dobro rzeczypospolitej, któż nie przyzna?

Co się tyczy młodości Sobieskiego, sądzę że przyjemność sprawię czytelnikom, przytoczywszy kilka o niej anegdotek, tak jak je opowiadał poważny starzec Orchowski, dworzanin Krakowskiego kasztelana, a naszego Jana w jego podróży po zagranicznych ziemiach przewodnik i mentor.

Trzeba wiedzieć acpanu, mówił mi on, że Jaś (tak często z nałogu monarchę, pupilla kiedyś swego nazywał) było dziecko bystre, do nauki pochopne, do ćwiczeń żołnierskich jak stworzył, ale za to sowizdrzał któremu równego nie znalazłeś na świecie, na wołowej skórze nie spisałbyś figlów jakie płatał. Dyrektor miał z nim istotną biędę; jest przy nim a z batożkiem w ręku, bo tak rodzić kasztelan, człowiek starzej daty, nie lubiący pieśczośliwego wychowania dzieci, zalecał. Jaś pilnie się uczy, spojrzysz na stronę już figle broi, karty z książek wydziiera, kreśli po nich figurki żołnierzy i koni, albo przekomarza się z bratem. Cóż dopiero gdy niedziela lub czas wolny! nie utrzymasz na wodzy, nie ma w Oleskim sadzie drzewa na któreby się za gniazdami ptasząt nie wdzierał, nie ma kałuży lub strumienia, w którychby za cyrankami lub kurkami wodnemi nie brodził. Bywało nieraz, przyjdzie do mój izby w oficynie; a lubił mnie, już że jak stary żołnierz opowiadałem mu dzieje prze-

szłości, już téż że rad oddawałem się myśliwstwu, a więc zawsze to muszkiet, to łuk lub strzały na pogotowiu były.—Panie Marcinie, mówi przyszedłszy, a nie pójdziesz asze na łowy? Ja rzeknę, nie mogę, to lub owo przeszkadza; on w prośby, w przymilenia, że człowiek musiał uczynić co chciał; a gdy już w lesie, dalipan nie trzeba było nic innego robić, tylko za nim gonić, chrapy nie chrapy, zarośla nie zarośla, wszędzie szedł nieraz i z niebezpieczeństwem życia, bo to w kałuży ugrzął po szyję, to w bagno wpadł i tonął, dziki zwierz napadł lub jakie inne trafiło się nieszczęście. A gdy w zamku musiał pozostać i tak spokojnym nie był: okna wybijał, w sadzie drzewa łamał, zbierał chłopców, na partye dzielił i bitwy kazał staczać, sam téż brał w nich udział, że nieraz w żwawej walce, podbił kto oko, na czoło wyskoczył guz, podarła się odzież. Dyrektor w tedy łaje, ojciec się gniewa, jéjmość pani kasztelanowa przedewszystkiém, ta i w areszcie zamknie i do krwi nieraz dyscypliną obje.

Bo trzeba wiedzieć acpanu, jéjmość nie lubiła jakoś Jasia, czemu? Bóg to wie, kto tam serce rodzicielskie zrozumie; zapewne bystrość, żywość zbyteczna nie podobały się, całą jéj miłość posiadał starszy syn Marek; potulne téż to było dziecię, pobożne uległe, wszyscyśmy mu świetną przyszłość wróżyli, ojciec swym infantem, a niby następcą pierwszych w kraju godności nazywał, pieścili dworscy, sąsiedzi i panowie przyjeżdżający w gościnę; gdy o Janie nie myślał nikt, nikt mu wysokich godności nie augurował, cóż dopiero korony! Każdy patrząc na jego sowizdrzalstwa, myślał sobie: ot będzie szataput, jak tyle innych; gdzie tam mu wysokie urzędy, dobry może będzie żołnierz, dosłuży się półkownictwa a może regi-

mentarstwa, że pan z panów i nic więcej; owszem byli i tacy, którzy górzęj wróżyli, że Jaś był rozrzutny; jeśli jaki denar w kieszeni znalazł się, Bóg wie gdzie go podział; gdy nie miał komu dać, gotów rzucić w błoto. Otoż przypominając sobie jego krewniaka Adama Żółkiewskiego, co to do szczętu roztrwoniwszy majątek, gdy nie mógł dostać za żonę panny którą lubował, zabił się w jej oczach, mówili: będzie jak tamten. Powtarzała i jejmość te słowa, zwłaszcza że z owym grzesznikiem, Jaś miał podobieństwo w urodzie, jako krewny Żółkiewskich, rysy też same. Co do mnie inaczej wnioskowałem, naprzód że z doświadczenia wiem iż z podobnie żywych dzieci jak Jaś najlepsi formują się ludzie; potem znałem jego temperament, serce i zdatność, w naukach np. mimo swego sowizdrzalstwa ogromny postęp zrobił, dość mu raz lekce przeczytać aby zrozumieć ją i umieć; po łacinie *expedite* mówił, toż po Francuzku i po Włosku, Turecki i Tatarski nawet język rozumiał, a nauczył się go od bisurmańskich jeńców, których mnóstwo znajdowało się w zamku; do rycerskich spraw ochoczy, nikt mu w robieniu bronią, w strzelaniu do celu nie zrównał; wszakżeż to później w odległości kilkudziesiąt kroków, strzałą jabłka przeszywał, a jak dzielnie szablą i koniem władał, to acpana przekonać może, że 16-letni na dworze księcia Mikołaja Czartoryjskiego Wołyńskiego wojewody, w gónieniu do pierścienia dank odniósł, a było przecież w towarzystwie mnóstwo znakomitęj zreczności i siły kawalerów jak np. Jerzy Mniszech, co później był wojewodą Wołyńskim; Jan Tarło ogromnej siły rycerz że postronki rwał jak nici, i dzikie konie ujeżdżał; toż Bohusz podkomorzy Zatorski, co później pod Wiedniem gdy

Niemców bronił, własną ręką kilkunastu Turków ubił, a pod Strygoniem idąc pierwszy do szturmego poległ.

Były też i przepowiednie świetnej przyszłości: mało ją osób zważało, lecz w moim umyśle silnie utkwiły; w chwili np. gdy się urodził, a złożono jego drobne ciało na marmurowym stoliku, ten stół pękł, niby pod ogromnym ciężarem. Różnie różni o tém gadali, jednym zdawało się że to zła wróżba, że Jaś kiedyś zniszczy majątek, a może jaką wielką niesławą splami swój ród, herbowną jego tarczę zgruchocze; drudzy, a ja z nimi, utrzymywaliśmy przeciwnie, że to pomyślny augur. Gdzieżby bowiem niebiosa znaczyły podobnym wypadkiem, urodzenie pospolitego a cóż dopiero grzesznego człowieka? musi w tém inna jakaś ukrywać się przepowiednia, a niewątpliwie dobra; i że zgadłem, późniejszy czas okazał. Jaś istotnie zgruchotał twardą opokę, lecz nie swego rodu lub Rzpltej lecz jej odwiecznych wrogów bisurmanów.

Ważniejszą bo więcej wyraźną była przepowiednia druga. Pewnego dnia państwo kasztelaństwo jechali do swych dóbr Jaworowskiego starostwa; w przejeździe przez jakąś wioskę dojrzymy ogromną chmurę ludzi niedaleko drogi ponad jeziorem, rozlegają się dziwne wykrzyki, wrzawa, śmiechy a zarazem płacz i jęki. Pan kasztelan mówi do mnie, bom jakoś na mym gniadym jechał obok karocy:—pójdźno tam waść, a zobacz co się dzieje? Zawrócę konia, gdy Jaś w prośby: a to i ja pojedę. Ojciec z razu bronił, lecz później dozwolił. Pojedziemy w znacznej komitywie, bo dworskich przymieszało się ludzi ze 30stu; dojeżdżamy do jeziora:—A co tam macie ludzie?—Et nic, odpowiadają zdejmując czapki, toż my czarownice pławimy.—A czemuż je pławicie? zagadnę.—Ba, czemu! widzi jegomość posucha od trzech tygodni, już

to nie kto inny tylko te poganki urzekły dėszcz; gdy je spławim niezawodnie padać będzie.—Ależ może one niewinne? rzeknę.—Gdzież znowu, miły paneczku, odpowiadają, wszakżeż to na dwadzieścia ledwie pięć utonęło, inne wszystkie niby żaby powierzchu pływają, a szczególnież ta bisurmanka, co się Zeli nazywa. Akiedyć tylko czarownice pławia, myślę sobie, toć nic wielkiego, pogadam jeszcze trochę z dobrymi ludźmi i chcę się wrócić, gdy krzyk od jeziora rozlegnie się. Patrzę coby to było, spojrzę gdzie Jaś, nie ma; przecisnę się przez tłum do brzegu, a ot on, jak był ubrany, w jeziorze pływa, a ciągnie za sobą jakąś czarownicę. Jezioro głębokie, istna przepaść, ludzie mówią: utonie, dobrze mu tak, czemu broni poganki. Mnie dreszcz przejdzie po żyłach, rzucim drągi które się jakoś znalazły na podorędziu, z wielką biędą wydobędziem panicza, a gdy wyciągniem, on choć wpół zemdlony nie zapomina o swęj czarownicy, puścić nie chce i razem z nią wydobędzie się na ląd.—Panie Janie, rzeknę wtedy, a cóż to znowu wmości do takich rzeczy mieszać się, poganki ratować? On na to:—Żal mi jęj było, o ratunek wołała, nikt go nie chciał dać; byłaby utonęła. Spojrzymy na niewiastę, leży bez zmysłów na ziemi; pytamy co by zacc była? lud mówi:—Toż to zakamieniała grzesznica i bisurmanka, jedna z tych które tu trzyma p. kasztelan Granowski nasz dziedzic, w niewoli, do świętęj wiary nawrócić się nie chce, choć ksiądz proboszcz groźbą i prośbą nakłania, i wiele innych jeszcze rzeczy gadają, jak ona chrześcian nie lubi, bydło zarzeka, tento, inny owo. Ja obrócę się do pana Jana: —ot widzisz waszmość jaką to heretyczkę z narażeniem własnego ratowałeś życia? On swoje:—nie mogłem spokojnie na jęj biędę pogłądać, serce krajało się z żalu. —Lecz jak się

teraz waszmość przed rodzicami pokażesz zmoczony jak jesteś? pan kasztelan i jójmość łajać będą.—A niech łaja, nawykłem do tego; tylko na Boga, ratuj tę biedaczkę; wskazał na leżącą na piasku bisurmankę.—A co mi ją tam ratować, odrzeknę; jak sobie posłała niech się wyśpi. Lud też krzyczy:—ona naszą! my ją spławić musimy! bo inaczej deszczu nie będzie. Ten i ów nawet zabiera się aby Turczynkę do wody wrzucić; lecz Jaś odpycha a karabelli dobywa.—Ani mi ważcie się, inaczej zbije na leśne jabłko. Lud się burzy:—a co mi za pan żeby naszój czarownicy bronić? Ja radę, wróćmy się, lecz Jaś przy swoim. Wtém kasztelan przyjedzie; któryś z dworskich aby się przypodobać panu, zawiadomił o wszystkiém. Kasztelan gniewa się, Janek mu do nóg upada, a ze złami prosi.—Mnie ichmś ukarz bom zawinił, lecz tę biédaczkę zbaw. Ulitował się dobry pan, umierającój ratunek kazał dać, przysła do zmysłów, zrazu gada ni to ni owo, a rwie się i przeklina świat, lecz później udobrucha się trochę:—a kto mnie, rzeknie, z wody wybawił? ja odpowiem wskazawszy na Jasia: ot temu paniczowi podziękuj. Bisurmanka bystro mu w oczy spojrzy.—Ałlah miéj cię w swojej opiece szlachcicu: choć jesteś giaur, przecież zasługujesz na jego łaskę, boś lepszy od innych, bo miłosierdzie w sercu jest i litość nad biédnymi ludźmi. Potém ujmie za rękę:—Słuchaj paniczu! rzeknie, chciałabymci do wód mojej wdzięczności dać, może chcesz znać dziecko, jakim będziesz człowiekiem, czy Bóg szczęście i honory da? umiém czytać wprzyszłości, nauczył ojciec Fabir i matka, córka świętego człowieka, co w Mece przy grobie wielkiego proroka żył a wiernie Ałlahowi służył. Jaś mówi:—a wróż gdy chcesz; i dłoń pokaże. Poganka patrzy na nią z uwagą, potém ciekawie, wreszcie gdy już napatrzy-

ła się dosyć, oko dziko zabłysnie, zimny pot wystąpi na czoło, dreszcz wstrząsa ciałem: — *Allah hu ekber!* woła a włosy rwie i miota się niby w konwulsjach: toż na me stare lata przyszło mi takiego nieszczęścia doczekać, ujrzyć nasz grom, islamizmu upadek, wieczną sromotę dla naszych! i wiele jeszcze rzeczy podobnych gada, a rzewnemi zalęwa się łzami. Wszyscy poglądamy zdziwieni, a niby na szaloną; pan kasztelan jako mądry pan i baczny ojciec, pyta się, co by zaczął za przyszłość na dłoni jego syna przeczytać? Ona na to: — toż on twój syn? — A tak, mówię ci, bom jego rodzic. Wróżka wnowe konwulsye i słowa: wiédz o tém a pociesz się w dumie; boś ty ojciec lwa, rodzic gromu, ojciec sultana. Twoje dziecię wielkie przed tronem Allaha, wielkiém będzie przed światem a potępieniem wiernego ludu. Ono mu upadek przyniesie, ono pomstą Mahometa za jego grzechy, ciesz się ale płacz zarazem, bo jak ten twój syn szeroko twoje nazwisko po świecie rozniesie, tak i blask jego skończy i blask swojego narodu. Nie patryarchą ty będziesz swego plemienia, lecz jego dziadem, a twój syn ostatnim wielkim monarchą twojej Rzpltej.

Zadumał się kasztelan, pod swą protekcję bisurmankę wziął, od p. Granowskiego wykupił. Niedługo żyła, jakoś w dwa miesiące później umarła, trapiąc się a narzekając bezustannie, że Allah dał swój piorun ujrzyć, Islamizmu zgubę, i tym podobne rzeczy.

Mało jednak brakło aby ta przepowiednia wróżki czcza nie została, owszem mało brakło aby się nie sprawdziła przepowiednia dworskich, którzy fatalny koniec burzliwemu kasztelanicowi zapowiadali. Kilka razy życie jego wisiało na włosku; żywa krew, gwałtowny charakter, i w kraju i za granicą nastroczały mnóstwo zająć, z któ-

rych że wychodził szczęśliwie, przypadkowi tylko a nie sobie zawdzięczać powinien. W licznych też okazyach z nieprzyjacielem wcale nie oszczędzał siebie: tak np. w jednej z bitew z Szwedami, gdy zestraszono rycerstwo tył podawać zaczęło, on z swoją chorągwią rzucił się w najgwałtowniejszy ogień bo na same haubice, a pierwszy szedł do ataku, kule sypały się jak grad, cóż dopiero w samą rozprawę! otoczyli trzykrotnie liczniejsze wrogi, Pan Bóg przecież salwował. Żwawy napad kasztelanica, wrócił jakoś wszystkim odwagę; rycerstwo uderzyło na Szwedów, rozgromiło przeważnie. Pierwsza to była zwycięzka walka z najeźdźnikami w naszym kraju; gdy po jej końcu, Sobieski odzież dla spoczynku zdjął, hełm był trzema kulami przeszyty; burka, a nosił ją z skóry niedźwiedziej, tu od spisy tam od szabli lub od kuli podziurawiona.

Hetmanem a nawet królem już będąc jakże się mało oszczędzał! W Chocimskiej bitwie np. nie tylko wodza lecz i żołnierza obowiązek wypełniał.... wtedy to bliżej poznał, polubił i z ubogiego szlachcica do najpierwszych godności wyniósł Marcina Kątskiego, później generała artylerji i kasztelana Krakowskiego. W napadzie na obóz bisurmański, widzi hetman, że w którymś punkcie ustępuje rycerstwo, biegnie tam, prosi, zagrzewa, podnieca do boju....., próżne usiłowania; gdy popłoch przyjdzie na rotę, wstrzymać trudno; i tam było tak, a spahowie następują i janczary za nimi, Sobieski z garstką odważnych śmiały opór stawia, okrążają bisurmani, przewyższając więcej niż dziesięćkrotnie liczbą; trzeba się zdać lub zginąć, myśli Sobieski, a ot ujrzy przy sobie Kątskiego. Dzielny żołnierz usadowił się tuż przy dużym wozie napełnionym prochem,

który tam jakimś trafem znajdował się. — Co wać czynisz, rzeknie wódz, a toż śmierć twoja nieuchronna, jedna iskra a proch w powietrze wysadzi! — Wiem o tém, odpowiada bohater.... i dlatego téż tu usadawiłem się; wiem że zginę, lecz moja śmierć hasłem będzie zgonu stu bisurmanów przynajmniej. Uściskał jego dłoń hetman: — Panie bracie, masz słuszność, a owszem dobry i mnie dajesz przykład. Gdzież mnie być jeśli nie przy tobie, i w tém miejscu... dobry hetman zginąć może, ale zdawać się nie powinien....; Pan Bóg jednak salwował. Jabłonowski z Pacem widząc niebezpieczeństwo wodza nadbiegli z półkami, odparli i rozgromili Turków. Wiktoryi zaś dokonał, cudem z niebezpieczeństwa wyswobodzony hetman.

Z licznych pojedynków jakie ognisty jego nastroczał charakter, dwa wspomnę. Oto jak je opowiadał wspomniony już Orchowski.

Gdy już oba kasztelanice w hożych młodzianów wyrosli, ojciec wysłał do cudzych krajów, mnie im za mentora dodawszy; ten zaszczyt nieraz ciężkim był utrapieniem, a dlaczego? powiem ci.

Z starszym kasztelanicem kłopotu nie było; spokojny, poważny, nie lubiący hulackich biesiad i kompanij, mało zatrudnienia dawał; insza rzecz z panem Janem. Nie skończyłbym prędko gdybym chciał wszystkie jego sowizdrzalstwa wyliczać, nie przeszedł dzień aby jakim nowym nie zasmucił lub nie przestraszył; żywy, gwałtowny, z tym się powadził, tamtego obraził, z innym rąbał się, cóż dopiero gdy do królewskiej gwardyi muskietierów wpisał się, co powiedziawszy nawiasem, było wielkim zaszczytem; boć do téj gwardyi tylko co najznakomitszą szlachtę duków, markizów i hrabiów przyjmowano, już

niepodobieństwo na wodzy utrzymać. Jaś był młody, przystojny, już to daleko szukać równiej jemu urody, teraz nawet, choć szósty krzyżyk przyszedł; spojrzij na niego, gdyby nie zbytnia otyłość, za najurodziwszego mężczyznę w kraju ująć mógłby, nie jedno zbałamucić serce niewieście, bałamucił zaś je w Paryżu. Gdy się ukazał na dworze, wszystkie panie Francuzkie głowy za nim traciły; księżna de Longueville zawołana tameczna piękność, hrabina Choiseille i inne których nazwisk trudno spamiętać; nazywano go powszechnie: *Un beau comte Polonais*; zazdrościła podobnych faworów inna młodzież, z tego najwięcej zając, zwłaszcza że kiedy niekiedy i obrażony małżonek wmieszał się; pojedynków więc mnóstwo, jeden szczególniejszy utkwiał w pamięci.

Pewnego wieczora, wcześniej niż zwykle wrócił pan Jan do gospody, a mieliśmy ją w owym pałacu co się królewskim nazywa i który wybudował zmarły niedawno sławny minister i kardynał Richelieu; Jaś był jakoś nie swój, zamyślony, pochmurny. O przyczynę zapytam: — Nic, mi mówi, jestem tylko trochę słaby, zmęczyła długa biesiada; wdycha przecież ciężko i niespokojny przechadza się po izbie; mnie różne domysły przychodzą. Pewno jakie z kim miałeś zajście. — Nie, odpowie. — To niezawodnie WM. grałeś i przegrałeś sporą sumkę (trafiało mu się to bowiem kilka razy a niepokoiło najwięcej; boć ichmość kasztelan dowiedziawszy się surowo w listach gromił a pani matka pod utratą błogosławieństwa od kart jako od sprośnej i grzesznej rzeczy kazała się wstrzymywać). — I to nie, odpowie, owszem szczęście jakoś służyło z księciem Montmorenci grając w kostki, udało się do tysiąca dukatów wygrać; wysypał je na stół obojętnie. — Cóż więc aszmości dolega? badam. — Głowa boli, czuję się

znużony odpowie, lecz to przejdzie gdy wytchu użyję. Położył się włożko, ja też to uczyniłem, gdy o północy budzi pan Marek. — Wstań waś, szepce. — A cóż to takiego, pytam, czy gore? — Gorzej jeszcze, odpowie; — pan Jan mnie trapi. Zerwę się równemi nogami: — Czy chory? — Nie, ale z nim dziwnego coś dzieje się. Pobiegnę do sypialni. Jaś chodzi po niej szerokimi krokami, na stole papiery, przy nich pistolety i szpada. Moje wejście zadziwi go: — a cóż to przywodzi waszmość? Ja rzeknę: niesennenność panicza; i w prośby aby mi powiedział, co mu jest? On na to: — Masz wmość list do rodziców; podał, świeżo widać napisał. — Lecz dlaczego ślesz WM.? pytam się. Przejdzie znowu niespokojnie po izbie potem mówi: Panie bracie, z pożegnaniem to pismo jest, jutro mnie już nie żyć. — Jakto? co znowu? przestraszony wykrzyknę. — A tak, biję się dzisiejszego rana w bułońskim lasku. Przestrach mój wzrośnie a podziw przytém ogromny, boć pan Jan nigdy o sobie nie wątpił, fantazyi nie tracił; gdy miał mieć pojedynek, w tajemnicy trzymał, że dowiadywałem się gdy już wszystko było skończone, gdy tryumfátorem lub z lekką raną powrócić. Mój podziw uważa: — zpięcioma aż przeciwnikami sprawę mieć trzeba. — Jezus Marya, wykrzyknę, to być nie może, niepodobieństwo! Opowie wtedy całą rzecz. Poznał się z jakąś tam hrabiną, nie wątpliwie miał z nią miłostki, ale cóż, wietrznik, po tygodniu czy dwóch amorów polubił drugą, pierwsza się gniewa; a jako Francuzki ogromne intrygantki, męża swój następczyni zawiadomi o niestatkach żony. Mąż, luboć Francuzi w podobnych rzeczach wielcy moderanci, że rzecz publiczną stała się, musiał satysfakcyi żądać, ale że z tak doświadczonym i szczęśliwym w pojedynkach kawalerem jak pan Jan strach było osobiście mierzyć się, namówił pięciu przyjaciół aby przy kieli-

szku i kostkach poszukali z nim zwady: uczynili téż to i biéda, p. Jan w półapkę popadł; obrażony przymówkami Francuzów, winem zagrzany, sam ich wyzwiał.—Ależ to być nie może, rzekłem wysłuchawszy wszystkiego. WMość kasztelanicu podobnego duelu przyjąć nie powinien. Zmarszczył brwi. Muszę, obraza zbyt publiczną była aby ją ścierpieć; zresztą wyzwiałem sam.—Ja na to nie zezwolę nigdy: coby ichmość rodzic waszmości powiedział?—Nie wiem co powieć, ale to wiem że jako dobry szlachcic Polski wyparłby się mnie, gdybym wyzwawszy Francuzów, nie stanął. Jest racya myślę sobie, przecież daję rady:—Uniknięcie śmierci nie grzech, szalenieć tylko dla ambicyi życie naraża, a tu zguba WMości pewna aż nazbyt, czy sposób abyś pięciu jeden pokonał? sam WMość czuleś to zdaje mi się przed chwilą gdyś był tak smutny. Rzuć mu ognia w oczy.—Panie bracie, złe sobie aść tłómaczysz moje poprzednie roztargnienie i smutek, nie obawa je śmierci budziła lecz inny wspominek.—Jakto? pytam. Ciężko westchnie, zwróci się do pana Marka:—Panie bracie, mam wielką prośbę do ciebie. Aść w pewném *votum* zastępcą być mi winienes, gdy zginę.—Gdy zginiesz bracie, przerwie pocciwy młodzian, ja twym mścicielem będę; gardło moje dam, ale krew twoję krwią przeciwników okupię.—Nie, nie, panie Marku, to być nie powinno, owszem przysiędz mi musisz że zabójców spokojnie zostawisz; innéj krwi mścicielem być powinienes.—Jakto? pytamy oba zdziwieni. On się zarumieni nieco:—Szczerą prawdę wyznać wam trzeba, poznacie wtedy dlaczego tyle dziś trapi smutek gdy przychodzi na harc życie stawieć; wielki ślub sumieniowi przycięża, od dziecka wziąłem go na siebie. Czy pamiętasz Marku, gdy jójmość rodzicielka naszemu dziadowi Żółkiewskiemu nagrobek

wystawiła, a wzięła nas dzieci, abyśmy przy nim modlili się?—Pomnę dobrze, odpowie p. Marek i pamiętam jak WMOść gorąco się modliłeś i rzewnemi zalewałeś się łzami, że to wszystkim było na podziw.—To prawda, lecz tego nie wiesz jakie wtedy postanowiłem *votum*: przysięgłem sobie przed Bogiem, że zgon dziadka pomszczę, gdy dorosnę, na Turkach, że jego krew ich krwią opłacę; ten ślub w ustawnej był mi pamięci, w snach stawał, na jawie pokoju nie dał, czuję nie umrę spokojny a owszem z rozpaczą która duszę potępi, że go nie wypełniłem przez własne sowizdrzalstwo, chyba że go kochany bracie przyjmiesz na siebie. P. Marek obiecuje to, przysięga, ale duel odradza, toż samo ja czynię, napróżno jednak. P. Jan niaby mu ciężki ciężar z głowy spadł, już teraz spokojny, prosi nas ażebyśmy oddalili się, bo znużony chce choć kilka chwil przedrzymać się, aby nie wydawał się błądy i zwątlony Francuzom; jakoż położywszy się spał snem spokojnym, niby gardło na szwank narażonem nie było, niby według wszelkiego podobieństwa jutro nie miał spocząć na wieki; taki to był hart jego umysłu a nie opuścił go nigdy. Wszakże wiesz o tém, niedawne temu lata, pod Żurawnem także spał spokojnie. Choć Turek ostatnią groził zagubą, choć następnego dnia o poranku miał stoczyć bitwę, nie ażeby zwyciężyć bo zwycięztwa nie było nawet nadziei, lecz żeby głodnej śmierci uniknąć lub żywcem w ręce bisurmanów nie popaść.

Rankiem, a mało co po wschodzie słońca, pojechaliśmy na oznaczone miejsce dla pojedynku. Francuzi butnią się a puszą swą siłą i wprawą; podajemy projekt zgody, nie chcą jój przyjąć; nie chce o niej słyszeć i pan Jan. Gdy nam łączy w oczach, serca ściskają się, on wesół, spokojny, jakby prorok sto lat życia obiecał, jakby

nie do niebezpiecznej rozprawy, lecz do tańca zabiérał się; owszem, że Francuzi w każdym zdarzeniu krotochwilni są i szczebiotliwi, to żartuje z nimi i dowcipki gada; sekundanci tymczasem obierają miejsce, układają warunki bitwy. Nam krew w żyłach ostygła, ćmiło się w oczach, gdy pojedynek zaczął się. Jak się tam bił pan Jan, nie wiem; lecz to wiem że już po pięciu minutach wyszedł zwyciężko, przeciwnikowi szpadę wytrącił z ręki i jakoś ciężko zadrasnął że markizek, niejeden miesiąc musiał w łóżku przeleżeć, dekokty pić i balsamami smarować się; z drugim, przy łasce Matki Najświętszej, jeszcze krótsza a równie szczęśliwa rozprawa; za dziesiątém może złożeniem przeraźliwie wrzasnął, tak zrećźnie p. Jan poczęstował szpadą. Francuzi gniewni darliby się za włosy, gdyby nie żał było peruk, a ogromne nosili niby pudła jakowe, właśnie jak dziś hrabia de Maligny brat królowej jéjmości, i szwargoczą w swym baranym języku, jaka to hańba dla nich, że jakiś cudzoziemiec z barbarzyńskiego kraju, tylu dzielnych kawalerów pokonał; potem coś z sobą pocichu szepcą i ot wystąpi jeden z nich.

— *Monsieur le Comte!* p. Janowi rzeknie, co się mnie tyczy, nie lubię szpady, jeśli wola spróbujemy się na pistolety. Mnie dreszcz przejdzie po żyłach, na żelazo myślę sobie, kasztelanie szczęśliwy; kto wie jak na palną broń będzie, wszakże to, chłop strzela, pan Bóg kule nosi, mówię tedy:— *Monsieur*, to się nie godzi, jak się zaczął niech się i skończy pojedynek; zaczęliście na szpady bić się, kontynuujcie więc niemi rozprawę. A miałem prawo mówienia, bo o czém zapomniałem aści powiedzieć, pan Jan za sekundanta wybrał.—Do nas wyzwanych, odpowie Francuz, wybór broni należy; spodziewam się że *Monsieur le Comte*, zwrócił się do p. Jana, nie ma nic

przeciw temu, chyba że strach pistoletu. Zarumieni się kasztelaniec. — Mości markizie, Polski szlachcic nie boi się żadnej broni, bić się na każdą potrafi. — Nie przeczę temu, ależ uprzedzić winienem że *Mr. le Comte* niebezpiecznego we mnie przeciwnika znajdzie. Wziął pistolet do ręki, wskazał na jedną z gałęzi drzewa: — sam wiérzchołek obstrzele; strzelił, nie chybił, mną istotna febra zatrzęsła; łotr, podobnie gotów w samą pierś p. Jana ugodzić. Ten nie stracił fantazyi: — *Monsieur*, zimno rzeknie; nie dla dania próby zręczności lecz na pojedynek przybyliśmy tutaj. Pistolety, że masz prawo za sobą, przyjmuje, bądźcie więc panowie łaskawi, odwrócił się do sekundantów, odmierzcie metę, a skończymy prędkiej, bo już mnie się nudzi tak długo na jedném miejscu zostawać. Francuzi skłonili się, a zaczynają o warunkach nowego pojedynku rozprawiać; ja kasztelanicowi rzeknę po Polsku: — Na licha było przyjmować tę broń! P. Marek toż samo gada, a biada, że jak mówi, na zgubę rodnego brata przyjdzie patrzeć; klnie się że nie podarowałby nigdy jego zgonu Francuzom. P. Jan na to: — uspokój się miły bracie, a przypomnij sobie jakąś mi obietnicę dzisiejszej nocy dał: jeśli bym poległ, opuść czém prędkiej ten kraj a do domu wróc się, nikt jak ty nie pocieszy rodziców; potem na Turki i Tatary udaj się, silne przecucie mam, że przez ciebie moje *votum* zgubę barbarzyńcom przyniesie.

Omylił się w tém jednak; nie p. Marek to, lecz on sam zgubę barbarzyńcom przyniósł; wiesz bowiem jak smutny był koniec starszego wojewodzica. W piérwszej już bitwie z Tatarem dostał się do niewoli, a han, stawiającego się w nieszczęściu śmiało, własną ręką życia pozabawił.

Nie przyszło jednak do nowego pojedynku, szczęśliwy przypadek chronił od niego; już to widać sam Pan Bóg Jasia, chowając go do przyszłych wielkości, salwował. Właśnie gdy sekundanci ukończyli swój rozmiar mety, gdy gadają jeszcze i układają jak się bić, ni ztąd ni zowąd, niezwykle gwar rozejdzie się po lesie, trzask biczków, rżenie koni, turkot kolasek. Patrzymy zdziwieni co by to było, a ot liczna kalwakata nadjeżdża, z pojazdów wysypie się kilkanaście pań, wszystko co najznakomitszych na dworze, księżna de Longueville szczególnie protektorka Jasia, toż inna przezwiskiem Rohan, wielka pani w swym kraju, dalej orderowych trzech czy czterech panów, obstąpią pojedynkujących się: — *Messieurs*, nie zezwolimy na *duel*, jeżeli chcecie być godnymi naszych względów, podajcie sobie ręce i zgoda. Wahają się Francuzi, nie wiedzą co mówić, jako naród grzeczny z natury ustępują niewiastom, ale z boku skinęli na p. Jana: — *M. le Comte* nie sposób dzisiaj dokończyć pojedynku, przeszkadzają damy, grzeczność zabrania sprzeciwiać się ich woli, lecz gdy zechcesz i my dzień naznaczymy, zejdziemy się w sekrecie i wszystko załatwim. — Dobrze, odpowiada p. Jan. Ulegają napozór niewiastom, u kobiet według przysłowia włos długi ale rozum krótki, cieszą się że *duel* przerwały. Nie tak myśli przecież jeden z panów który z niemi przyjechał, a był to ni mniej ni więcej tylko ów Wielki Kondeusz, zwycięzki hetman w wielu potyczkach i książę krwi, który tyle razy a zawsze napróżno kandydatem był do naszego tronu. Ten zrozumiał podstęp, bierze na *examen* markizów i pana Jana, dowiaduje się prawdy, ostro gani postępek, grozi gniewem królewskim i swoim; damy przyjdą mu na pomoc że już teraz prze-

ciwnicy ręce na seryo podać sobie musieli i pojedynku wyrzekli się pod słowem honoru.

Lecz nie myśl asan, żeby pan Jan samemi sowizdrzałstwami tylko zajmował się za granicą; dziwna mieszanina dobrego i złego była w jego charakterze. Jednego dnia żywy, bystry, goni za zabawami, w karty gra, wadzi się, nazajutrz inny już człowiek: pilnie ślęczy nad książką, z uczonymi rozprawia, ogląda co godnego widzenia w mieście, stara się z gruntu poznać stan i obyczaj kraju który przebiega. A trafność sądu i bystrość widzenia jaka! na co inny, p. Marek np. tygodnie całe poświęcał aby zrozumieć i nauczyć się, on w jednej godzinie pojmie i umie; na podziw to było wszystkim co go znali a szczególnie księciu Kondeuszowi, polubił on żwawego chłopca, ... co więcej współzawodnika w nim widział. On, człowiek u szczytu chwały, pierwszy bohater Europy co dwudziestoletniego chłopca, bez znaczenia i bez zasług jeszcze, niewahał się przyjacielem nazywać, rad jego i objaśnień co do stanu rzeczypospolitej zasięgał; a gdy p. Jan skłoniony rozkazem ojca, Paryż opuszczał a z księciem żegnając się mówił: — Bóg daj, abym rychle W. K. Mość ujrzyć mógł, a spodziewam się ujrze go w moim rodzinnym kraju jako monarchę. Kondeusz odparł: — W woli bożej moja korona, nie wiem czy ją kiedy osiągnę, owszem sądzę, prędzej niżli ja, jeśli czyny poprą bystrość wrodzoną, nosić ją będziesz; tron twego kraju elekcyjny, czemuż twoi ziomkowie nad obcego księcia nie mają przynieść rodaka, którego sława ich zaszczytem będzie, a szablą obroną? Gdy zaś jego przecucie sprawdziło się, gdy do Paryża doszła wieść o wyniesieniu na tron p. Jana, nie zazdrościł, nie sarkał na zawód nadziei, ale spokojnie rzekł: — Przewidywałem to oddawna, znałem Sobieskie-

go jeszcze młodzianem, nikt mu wtedy świetnej nie śmiał rokować przyszłości; z błysku jego oka, z trafności zdań, siły ducha i woli ja ją odgadłem: zaiste jestto człowiek który jak jedyny w swoim kraju był do noszenia korony, tak się też pod jej ciężarem nie ugnie.

Nie w wszystkich jednak pojedynkach był kasztelan nic równie szczęśliwym; szczególnym trafem wkrótce po powrocie z zagranicy do kraju, pokonanym został przez człowieka, którego w następnych czasach w wszystkich zdarzeniach przemagał, z którym rywalizując w sławie, miłości, znaczeniu, świetne tryumfy odnosił.

Dwór królowej Maryi Ludwiki, żony dwóch braci, ostatnich Jagiellońskiego plemienia odłamków, świetny był i liczny. Długo prym na nim wiódł Michał Gozdawczyk Pac, młody, urodny, bogaty, panien dworskich serca, królowej jejmości przychylność pozyskał, lubiła ona swaty, i miała dla niego partyę gotową: a to właśnie pannę d'Arquien, tę samą która pod nazwą Maryi Kazimiry, dziś się koroną naszą zaszczyca. Zmieniły się te projekta za przybyciem pana Jana, równie młody a więc jeszcze przystojny od Paca, poprzedzony renomą szczęśliwych pojedynków i miłosnych awanturek w Paryżu, wszystkich uwagę a szczególnie też p. d'Arquien zwrócił na siebie. Nie w smak to było Pacowi, bodła zażyć, dogodnej tylko oczekiwał pory, aby ją jawnie pokazać, okazała nadarzyła się wkrótce. Z powodu elekcji i wyniesienia na tron Jana Kazimierza, ten i ów z panny świetne ucztę wyprawiał; na jednej takiej a to u wojewody Sandomierskiego, Pinczowskiego margrabi Władysława Myszkowskiego, zeszedł się dwaj przeciwnicy. Przy stole, jak zwykle zawiązała się rozmowa *de rebus politicis*, naganiano królowi ożenienie się z wdową

po bracie grzeszną; dla niego a zgubną dla Rzplitej rzecz w tym postępku widziano. Innego był zdania kasztelanica: mądrymi słowami dowodził że podobne związki w cudzych krajach a szczególniej we Francyi trafiają się nieraz. — Być może, odparł Pac, że tam jest tak, ale czyż grzeszne obcych krajów narowy mamy do naszego wprowadzać? Francya Francją, niech będzie krajem kacerstwa, i my dobra Polska szlachta zostańmy z naszą staroświecką pocziwością; dobrze panu z nią było, do dzisiaj, dobrze będzie i później. Pan Jan jako wielki zwolennik arcychrześcijańskiej monarchii odpowie: — Panie bracie, i we Francyi znajdziesz ludzi pobożnych i pocziwych, i tam kto ma zastanowienie i dowcip, wielu rzeczy nauczyć się może. — A tak, zuchwało odrzeknie Litwin, nauczy się menueta tańcować, w maskarach chodzić i prawić trzy po trzy, duby bez sensu i składu. Przytyk to był oczywisty kasztelaniciowi, który wczoraj właśnie z pannami dworskimi w menuecie popisывał się i odsadził od panny d'Arquien Paca, w Francuzkim języku niebardzo biegłego. — Mościpanie, rzeknie więc, a kogoż to WMość na celu masz przygryzkami swojemi? mnie się zdaje szukasz okazji. — Szukałbym jój rzeczywiście z WMością gdybym wiedział że równie dobrze szablą jak językiem władasz; ale cóż, w zamorskich krajach przy mnogić innéj nauce musiało się o niéj zapomnieć. Rzuć ognia na kasztelanica. — Że WMość mylisz się, przekonac cię mogę. Brzęknął w karabellę, Pac do swojej bierze się; byłoby zaraz przyszło do sprawy; ale wmieszali się panowie, niedozwalają, godzą. Trudna rzecz, dwaj młodzi zapastnicy zukosa poglądają po sobie, a wąsów trą: do jutra, mruczy Pac; do jutra rana, odpowiada pan Jan. Jutro nadeszło, zjadą się. — Słuchaj WM., rzeknie Litwin, jeden warunek

pojedyńku: zwyciężony ustąpi konkurów do p. d'Arquien szczęśliwemu. — Niech tak będzie, odpowie kasztelan. Staną do bitwy: ja mam dobrą otuchę, wiedziałem bowiem jak dzielnie władał karabellą p. Jan, siła i zręczność była po temu; gotów jestem o gardło założyć się że pokona Paca; inaczéj jednak stało się. Już w piątém czy szóstém złożeniu chcąc natrzeć, potkniesię, korzysta Litwin, szablę wytrąci i sporą ranę zada w rękę wzdłuż ramienia, szczęściem niebezpieczną nie była, zagoiła się wkrótce.

Ile ta awantura zasmuciła dbałego o swój honor młodziana, wypowiedzieć trudno. Przez pół roku zamknięty w Olesku nie pokazywał się światu; napróżno jéjmość i krewni Daniłowicze i Zamojscy pocieszali, daremnie i ja przekonywałem, że najlepszemu rycerzowi podobny przypadek trafić się może, nie dał się w smutku utulić, przegrana ciągle na myśli stała, trapiła, widział w niéj swą hańbę; zapomnieć nie mógł, i ztąd ta nieprzyjaźń z Litewskim hetmanem, tyle dla Rzptéj w różnych czasach szkodliwa. Ależ i Pacowi zwycięztwo nie przydało się na nic, ręki pięknej panny d'Arquien nie otrzymał. Młode dziewczę ani chciało słuchać o człowieku, który rozlał krew tak dzielnego kawalera jakim był kasztelan, a gdy ten związany warunkiem pojedynku nie pokazywał się na dworze, zaślubiła wojewodę Zamojskiego, ostatniego w prostéj linii potomka wielkiego Jana; stawil się wtedy Sobieski, już był chorążym koronnym; dawne miłości z całą siłą ocuciły się w sercach obójga, a gdy wojewoda pożegnał się z tym światem, wdowa po nim, jeszcze przed wyjściem żałoby, Sobieskiemu oddała swą rękę.

